Leh nie chciało się opuszczać… nawet jeśli w planach mamy powrót do tego urokliwego miasteczka. Ale młodym trzeba pokazać cudną Dolinę Nubry, więc znowu zapakowaliśmy plecaki do travellerow i ruszyliśmy w poszukiwaniu nowych przygód. Z tym pakowaniem plecaków nie było tak prosto, jak mi się napisało, bo wszyscy kupiliśmy mnóstwo rzeczy w Leh i… no właśnie. Co teraz? Postanowiliśmy więc zapakować cenne nabytki do trzech wielkich, ponad stulitrowych, worów i zostawić je na przechowanie przez tydzień kiedy nas nie będzie. I tak zrobiliśmy. A propos dużych zakupów, poszalał nawet Kumar, który odgrażał się, że ruszy w miasto i da upust zakupoholizmowi. I poszalał. Poszedł do apteki i kupił szampon i cukierki do ssania na ból gardła. W dodatku próbował docisnąć ów szampon do naszych worów z kupionymi pamiątkami. Ale dbałość o fryzurę zwyciężyła i butelczyna z preparatem przeciwłupieżowym pojechała z nami do Nubry. Nie tylko on zaskoczył. Drugim był Łukasz zwany Szotem, który uświadomił kronikarce, że ma dopiero 16 lat, bo rok wcześniej zaczął się edukować. Od tego momentu nazywam go Bąbelkiem i pod takim pseudonimem może się pojawiąc w moich relacjach.

A wracając do wycieczki do Doliny Nubry… przejzad minął gładko, bo Indusi zainwestowali w drogi i asfaltówki znacznie ułatwiają zwiedzanie Ladakhu. Nubra kojarzy mi się z wielbłądami, pustynnymi przestrzeniami i morelami – małymi, dużo mniejszymi od znanych nam z kraju, ale przepysznymi, bo słodkimi jak ulepek. Na nie czekałam najbardziej. Młodzi oczywiście zachwycili się możliwością przejażdżki na wielbłądach. Były dyskusje czy to etyczne, wsiadać na nie i męczyć niczym konie na drodze do Morskiego Oka, ale ostatecznie ciekawość jak to jest przemierzać pustynię na dwugarbnym wierzchowcu zwyciężyła. Przekonał ich też fakt, że wielbłądy są zadbane, a przejażdżka stosunkowo krótka. Ja i Grace zaległyśmy na wydmie, obok nas trzy dziewczyny, które wolały popatrzeć na jeźdźców, a Dyrektor jak młode źrebię biegał po piachu i wydmach i fotografował jadących w wielbłądziej karawanie wyprawowiczów.

Kolacja była beznadziejna w paskudnej knajpie. Ten jeden raz jak do tej pory nie trafiliśmy dobrze, dlatego w podłych nastrojach wróciliśmy do naszego hoteliku. Nawet nie byliśmy głodni, bo w ciągu dnia zjedliśmy zupkę warzywną, ale przygnębiająco zły był ten lokal… A rano ruszyliśmy w trasę, by dojechać do wiosek Turtuk i Thyakshi, położonych tuż przy granicy z Pakistanem. Dla mnie te wsie to przede wszystkim morelowe zagłębie i zawsze jak tam byłam, wyjeżdżałam przeżarta morelami i z torbą tych soczystych owocòw w garści. Tymczasem w tym roku POSUCHA. Można było kupić suszone owoce, ale świeżych jakoś nie sprzedawali. Jeden dziadek siedział na przyzbie i miał w ofercie kubek owoców. Wszystkie gałązki zwisające nad głowami turystów obrane do jednej morelki. Buuuu. Nawet spadów nie było. Ale same wioski są urokliwe. W mini muzeum mogliśmy zobaczyć jak kiedyś żyli mieszkańcy tych terenów, a spacerując po Turtuku jak funkcjonują teraz, uprawiając sady i małe poletka. Turtuk jest wioską położoną na wzgórzu, więc domy mieszkańców wyrastają jeden ponad drugi, ścieżyny pomiędzy nimi są wąskie, kręte, a przy tych duktach często stoją „zaparkowane” osiołki. Kobiety kręciły się w obejściach, zbierały do suszenia morele, myły gary w potokach, pomagały mężczyznom w polu. W Turtuku życie toczyło się własnym rytmem, a kolejne pory dnia wyznaczało wezwanie przez muezina wiernych do modlitwy. Na nas mało kto zwracał uwagę. Dzieci, śmielsze od dorosłych, z uśmiechem wykrzykiwały w naszym kierunku po ladakhijsku „julley” (pozdrowienie, ale i podziękowanie). Pogubiliśmy się trochę łażąc po tej wiosce i do miejsca, w którym parkowały nasze travellery

schodziliśmy dość stromą dróżką wydeptaną przez tubylców. A potem był późny lunch i powrót do Hunder. Po powrocie referaty, kolacja i odpoczynek w pozycji horyzontalnej. A rankiem kolejnego dnia w Nubrze wyjechaliśmy nad jezioro Pangong. Ale nim ruszyliśmy było wyjątkowe śniadanie, bo młodzi nie tylko przygotowali kanapki, ale i TORT dla Marty Kucharskiej, jednej z wyprawowiczek. Jak oni ten tort zrobili pojęcia nie mam, ale był piękny, z biszkoptu, nutelli, ozdobiony kolorowymi drażami. Były też świeczki do zdmuchnięcia i… marzenie do spełnienia. Nad Tso Pangong jechaliśmy kilka godzin. Droga była oskórowana z asfaltu (bo poszerzają), więc trzęsło nami niemiłosiernie, a w dodatku woda z topniejących jęzorów lodowca spływała z gór i nie raz nie dwa trzeba było przejeżdżać przez dość rwące potoki. Ale dawaliśmy radę… szlag nas trafił dopiero na pewnym etapie tej wycieczki, kiedy dojechaliśmy do łączki, na której zwykle buszowały radośnie tłuściutkie świstaki. Okazało się, że świstaki uciekły na drugi, kamienisty, brzeg płynącej tam rzeczułki, bo homo sapiens (!), chcąc poszerzyć drogę, zerwany asfalt zwalił na ich przestrzeń życiową. Świstaki smętnie popiskiwały na fotografujących ich zza wody turystów. Inni, próbowali na gwałtu rety wywabić zwierzątka z ich nor, podrzucając im ciastka czy jabłka. Brak wyobraźni dorosłych ludzi co najmniej dziwi i wkurza. Paszcze mamy pełne haseł typu „chrońmy gatunki”, „żyjmy eco”, „zwróćmy zwierzętom ich naturalne środowisko”, a jednocześnie, nie bacząc na ich dobro, anektujemy co do nich należy i ścigamy dla foty z krakersem. Nie chcąc w tym uczestniczyć weszliśmy do aut i pojechaliśmy dalej… A pogoda zaczęła się zmieniać. Pangong zobaczyliśmy w deszczu. Zachwycające, liczące ponad 80 km długości, jezioro było mroczne. Oczywiście zrobiliśmy mnóstwo zdjęć i z nadzieją na to, że jeszcze wyjdzie słońce, pojechaliśmy do naszego homestayu. Ledwie położyliśmy plecaki, a usłyszeliśmy krzyk Kumara „Chodźcie na zewnątrz, zobaczcie jaka tęcza!”. A tęcza była podwójna i jak namalowana szkolnymi farbkami. Jej końce tonęły gdzieś w Pangongu, a my złapaliśmy aparaty i pobiegliśmy za Dyrektorem na brzeg jeziora. Zdjęcia wyszły bajeczne, jezioro po deszczu stało się niebieskie jak niebo nad nim. I było takie do zachodu słońca. Niestety, noc była zimna, ranek jeszcze bardziej a my, chcąc zrealizować plan wjazdu na najwyższą obecnie przejezdną przełęcz na świecie – Umling La – musieliśmy ruszyć cztery litery z łóżek przed piątą, zjeść szybko śniadanie i ruszyć w drogę. Chciało nam się spać, było zimno, ale kiedy stanęliśmy by raz jeszcze zrobić sesję zdjęciową na brzegu Pangongu, wszystko zeszło na plan dalszy. A potem jechaliśmy. Dlugo. Byliśmy w Hanle, gdzie jest najwyżej na świecie postawione obserwatorium astronomiczne i wjechaliśmy na Umling La, czyli przełęcz liczącą ponad 19 tysięcy stóp. Zrobiliśmy znowu masę zdjęć, a co najważniejsze wszyscy dobrze się czuli na wysokości 5800 m n.p.m., znaczy się aklimatyzacja przebiegła modelowo, kiedy przemierzaliśmy Ladakh. Na noc pojechaliśmy do wioski Nyoma i spaliśmy w dwóch homesteyach, u ludzi, którzy dali nam wygodne łóżka, rewelacyjną kolację i pyszne śniadanie (Kumar, który zwykle skubie strawę jak ptaszyna, dopominał się o dokładki…).

A potem… potem zaczęliśmy wracać do Leh